



# Paweł Mateja

## Obrzmiaty, wydęty

## I

Wraca zawsze w takie noce, jak ta. Gdy jest mi smutno i czuję się źle. Wystarczy, by coś mnie trapiło i wiem, że znowu wróci tutaj obrzmiały, wydęty i zły. Za każdym razem puchnie coraz bardziej, jakby rozdymały go gazy. Patrzy na mnie zza niedosłoniętej żaluzji. Noce są teraz ciepłe; przez uchylone okno słyszę sapanie, złośliwy chichot. Noce są teraz ciepłe, majowe. Budzi mnie głodny komar, rozgniatam go o ukłuty policzek i czuję, że nie tylko on wysysał ze mnie tej nocy krew. Ale szyja jest gładka, nienaruszona.

Coś jest nie tak. Ktoś poruszył jakiś drobiazg; zabrał figurkę słonika z półki i roztrzaskał o podłogę, przestawił brudny od wieczora kubek. A może nie?

Okno nie było chyba uchylone?

Ktoś chichocze tam na dworze, uczepony framugi okna. Dyszy i sapanie, jest tak ciężki, że trudno mu dłużej się utrzymać. Czeka jeszcze tylko, bym się przebudziła, bym spostrzegła, że znowu tu był.

Gdyby tak zasnąć spokojnie, bez problemów – noc byłaby bezpieczna. Tak rzadko ostatnio się uśmiecham.

Czuję się winna. Jakby to wszystko było z mojego powodu. Jestem brudna, nieczysta. Nieczysta.

Księżyc za oknem jest pełny i świetlisty, noc zwyczajna, półgłucha. Rzadko ktoś przechadza się po osiedlu o tej godzinie. Niedawno nasi skopali ryj jednemu i od tej pory

jest całkiem cicho. Wszyscy boją się, nawet w dzień. Ja się boję, matka. Tylko on nie zwraca na to uwagi.

Budzę się i słyszę cichy szloch w sąsiednim pokoju. Czy i ją odwiedził? Co znów zrobił? Przeszedł przez moje drzwi, dalej korytarzem i zastukał delikatnie? Mama śpi czujnie, musiała zauważyć, że wchodził. Może dlatego właśnie płacze. Mógł przyjąć tym razem tylko do mnie i ona czuje się zbędna, opuszczona. Jeszcze bardziej niż za dnia. Dlaczego ona tak tego pragnie?

„Mamo, mamusiu. Nie płacz, jest dobrze, będzie dobrze” szepczę i słyszę, jak on za oknem powtarza cicho te słowa drwiącym bełkotem. Boję się, boję, jak cholera. Dalej tam jest, czeka nie wiadomo, na co. Włączam nocną lampkę i pokój zalewa żółte światło. Cienie są głębsze, ale wcale nie mniej przerażające. Mama usłyszała trzask włącznika, a może dostrzegła pod drzwiami smugę światła. Wie, że również nie śpię i milknie. Mama nie chce, bym wiedziała, jak źle się czuje. Tak jakbym była ślepa. Co rano ma podkrążone od niewyspania, przekrwione oczy. Policzki zmęczone potokiem łez. Musi płakać, żałować. Teraz ja też zaczynam szlochać, przeklinając to jego nabrzmiąte, odęte cielsko, przeklinam siebie, moje ciało brudne i obrzydliwe. Ciało, którym gardzę.

Mogłabym pójść tam do niej, przytulić się i zasnąć. Ale chowam się, tak jak ona. Wiele z rodziców jest w nas samych. Jak korowód ślepców,

który tak długo już idzie, że sam zapomniiał, gdzie jego cel i kto prowadzi. Potykają się i ranią o ostre krawędzie skał, ciernie. Krok za krokiem dążyć do zagłady.

*„Mamo, śpij, jutro wstajesz wcześnie. Nie, to już dziś; jeszcze kilka godzin. Mamo, musisz jeszcze spać. Wstajesz tak wcześnie. Mamusiu, musimy mieć siły, choć na jeden jeszcze uśmiech. Choć jeden krok.”*

Znikł. Nie zauważyłam nawet, kiedy odszedł. Nasycił się już strachem i smutkiem. Wróci na cmentarz, nim słońce wstanie. Nie może go nikt zobaczyć; gdy idzie tak błady i tłusty, nadęty trupim gazem.

Odszedł i na razie mamy spokój.

*„Trzeba spać, mamo. Zasnąć i nie przejmować się niczym”*

Został po nim zapach. Czułam go jeszcze nim otworzyłam oczy. Cała wódka, którą wypił w życiu.

Ale chyba zawsze coś było nie tak jak powinno. Alkohol był jedynie katalizatorem. Gdy zaczął pić, początkowo nie zmieniło się znów tak wiele. Oczywiście, pierwszym wrażeniem był szok.

Ile miałam wtedy lat? Trzynastcie? Niewinny dzieciak – szary i mysi. Mysia jestem do dzisiaj. To samo mieszkanie, miało tylko inny zapach. Mama martwiła się, że on tak późno wraca; już wieczór za oknem. Tego dnia pierwszy raz dostałam okresu i czekałam na odpowiedni moment, by powiedzieć o tym tej krzątającej się tam i z powrotem kobiecie.

Bałam się, brzydziłam, byłam błada jakbym wykrwawiła się niemal na śmierć. Nie rozumiałam jeszcze do końca tego, co się działo. Nie, nikt mnie nie przygotował, nikt nie uprzedził. Wróciłam wcześniej ze szkoły, tłumacząc się skróconymi lekcjami. Schowałam zbrudzone majtki, by nikt ich nie zobaczył i leżałam, płacząc cicho. Mama nic nie dostrzegła, czekała aż on wróci.

Trzasnął drzwiami i zataczając się dotarł do kuchni. Nie zdjął butów ani kurtki. Usiadł i zaczął jeść zimny już rosół, jakby nic się nie stało. Siorbał, manewrował łyżką z dramatyczną precyzją i pośpiechem. Nikt nic nie mówił. Mama stała w rogu, oparta o blat szafki. Patrzyła przerażona, jakby widziała wszystkie przyszłe sceny.

*„Mamo, dlaczego nie powiedziałaś wtedy choć słowa?”*

Zjadł i w ubraniu położył się do łóżka. To był mokry, jesienny dzień i cały dom został naznaczony błotnistymi śladami jego wędrówki. Drzwi wejściowe, kuchnia i pokój rodziców.

Gdyby tego pierwszego dnia padło między nimi choć jedno słowo, może wszystko potoczyłoby się inaczej. Może choć ja poczułabym się lepiej. Miast tego zobaczyłam mamusię, mokrą szmatą zmywającą ślady ze starego linoleum.

Bóg świat stworzył w siedem dni, a ojciec niszczył go przez dni setki, chyba nawet tysiące. Ile dobra mogłoby powstać w tym czasie? Jest jeden Bóg, tysiące dni i siedem tylko potrzebnych na stworzenie piękna.

Człowiek jest mniej od Stwórcy potężny, ale uparty.

To był dzień, gdy nasz prywatny pochód ślepców ruszył ze zdwojonym tempem. Od teraz przewodnikiem miał być już tylko ojciec. Ile setek kilometrów przewędrowaliśmy razem? Moglibyśmy okrążyć Ziemię wielokroć, zwiedzić co tylko byśmy pragnęli. A on prowadził nas do piekła. Zrozumiałam, że ono nie ma dna.

Zmienił się zapach mieszkania. Odór starego alkoholu i wymiotów stał się nie tylko wyczuwalny, ale wręcz dominujący. Ale była też krew, którą tego dnia zbrudziłam pościel i majtki.

Musiała to dostrzec, przecież była matką. Więc w końcu, gdy już miałam kłaść się spać, przyszła i zobaczyła zaschniętą plamę, którą tak bardzo chciałam zignorować. W milczeniu zmieniła mi pościel, później usiadła obok. Chwyciła mnie za rękę i dziwnie łamiącym się głosem zaczęła wprowadzać w meandry kobiecości. Gdy tłumaczyła to wszystko, nie patrzyła na moją zapłakaną buzię. Trzymała mnie za rękę i wbijała wzrok w ścianę. Paliła się tylko nocna lampka, pokój był ciemny, ale pamiętam to spojrzenie do dziś.

*„Mamo, dlaczego nie spojrziałaś mi w oczy? Chciałam, byś była przy mnie.”*

To jest wciąż we mnie. Patrzyła w tępą, głuchą ścianę, za którą spał pijany samiec wieku lat czterdziestu pięciu. Pijany, śmierzący, o apary-

cji coraz bardziej puchnącej i złej. Ile w tym było wódki, a ile po prostu wyszło ze środka?

Stałam się kobietą, której wzorem miało być ciche cierpienie. Tak wiele z naszych rodziców dziedziczymy już poza łonem matki. Tak naprawdę dopiero wtedy, gdzie kończy się genetyka, zaczyna się ten proces.

Ojciec wrócił wtedy, jak bombo-wiec wtaczając się do kuchni i od razu wiedziałyśmy, że zostanie alkoholiem. Gdyby zażartował, gdyby powiedział cokolwiek, byłby uratowany.

Tak naprawdę mówić powtórnie nauczył się dopiero po śmierci. Ale wtedy już tylko szeptał i to było równie straszne jak wcześniej cisza.

Często słyszę jego szepty, gdy budzę się w nocy.

## II

Wszystkiej kolejne ojcowskie ekscesy mogłyby stać się równie dobrze jednym dniem. Pamięć rozmywa te sceny, nie pamiętam ich wyraźnie. Wracał zawsze w milczeniu, pijany jak świnia. Czasem zasypiał już w korytarzu, czasem na klatce schodowej. Bałam się, że udusi się wymiotami i umrze, albo że go pobiją. Zawsze następnie pragnęłam, by to już się stało.

*„Mamo, jak ja go nienawidziłam!”*

Nie codziennie tak było. Nie od początku. Mama tłumaczyła mi, że

to imieniny kolegi z pracy, że znajomi go wyciągnęli na piwo, tylko na jedno. A on ma taką słabą głowę.

W końcu jednak sama poczuła, że tłumaczenia już nic nie pomagają.

Wychodziłam rano do szkoły, spiesząc się na autobus. Wtedy był już w pracy. Gdy wracałam, bałam się, że będzie leżał gdzieś na chodniku, zarzygany i nieprzytomny. Wszyscy widzieliby jego ohydę, a ja spaliłabym się ze wstydu. Dlatego starałam się wracać sama.

Dlatego też nigdy nie zaprosiłam do domu koleżanek, dlatego nigdy nie miałam chłopaka. Zobaczyłby go i zniesmaczony zostawiłby mnie.

Unikałam zawsze chłopców. W dniu, w którym matka wprowadziła mnie w tajemnice świata kobiet, znenawidziłam własną kobiecość. Nie za ból, nie za podpaski i ciężkie dni, ani za ciążę i menopauzę. Znenawidziłam ją za pokorne spojrzenie rodzicielki, która smutno czekała na przebudzenie pijanego, złego samca.

Nie chcę kochać. Nie tak, jak ona go kochała.

Rodzice poznali się jeszcze w szkole średniej. Jak dokładnie, tego nie wiem. Pewnie spotykali się na przystanku autobusowym, czy peronie.

Ona, młoda i jeszcze piękna ekonomistka, teraz spracowana ekspedientka w podrzędnym sklepie monopolowym i on, przystojny, nie za wysoki, ale postawny szatyn o ciemnozielonych oczach. śmiał się całą twarzą, całym sobą. Ona patrzyła wy-

zywająco i pewnie. Młody elektryk i jego narzeczona. Pamiętam taki widok ze starego zdjęcia. Mała sepia, błyszcząca i lekko zamglona. Stali obok siebie, przytuleni. W parku, po kostki w brązowozłocistych liściach. Taka piękna jesień, jakiej nigdy nie widziałam. Jesień tylko dla zakochanych.

Byli wtedy naprawdę szczęśliwi.

Mama trzyma to zdjęcie w nocnej szafce. Chyba często do niego wraca, takie jest wygnięcione i wycalowane. Nie pamiętam, by kiedykolwiek spoglądała w ten sposób na fotografię z późniejszych lat. Może coś się popsuło, może tak naprawdę nigdy nie było dobrze. Nie wiem, przecież o to nie zapytam.

*„Mamo, czy to moje narodziny zniszczyły waszą miłość?”*

Zdjęcia z późniejszych lat nie są już tak piękne. Jeździliśmy czasem na wycieczki w góry, raz nad morze, nad Bałtyk. To było dla mnie zawsze coś wyjątkowego. Małe dziecko było szczęśliwe, biegało po lasach, upadając z płaczem i wstając już z roześmianą buzią. Tylko dlaczego na wszystkich tych zdjęciach tylko ja się uśmiechałam?

Ja też nie lubię tych zdjęć. Trzymam wszystkie w pokoju, choć rodzicie pewnie nie wiedzieli nawet, że jest zabrałam.

Nie chcę już do nich wracać. Piękne i szczęśliwe jest tylko to jedno, na którym jeszcze mnie nie ma. Piękne są te roześmiane twarze, jesienne drzewa i spokój w powietrzu, jakby cały świat zamarł tylko

po to, by uwiecznić ten moment.

Zawsze, gdy ktoś robi mi zdjęcie, staram się uśmiechać jak najładniej. Czy widzą, że to pozory, że moje oczy są smutne? Odbija się w nich opasła, nabrzmiała zmora, która nie chce odejść mimo śmierci.

Czasem włączam w nocy cicho muzykę, tak by nikt jej nie usłyszał. Tango, dzikie i porywające, takie, które usłyszeć można by w ciemnych, cuchnących barach, gdzie lubieżność gra w kości z upadłością. Tańczę wtedy, choć nie znam kroków, choć nigdy nie tuliłam w tańcu mężczyzny. Obejmuję upadłość.

Stawiam kroki cicho i miękko, by nikogo nie obudzić. Mama ma tak czuły sen, ale pewnie jeszcze dla niej za wcześnie. Położyła się, bo nie wie, co mogłaby sama robić. Minęło już tyle czasu, a ona stale czeka na niego. I nie potrafi się odnaleźć. Nikt jej nie powiedział o jego śmierci, a sama sobie nie wierzy.

Zamykam oczy i słyszę muzykę całym ciałem. Krok za krokiem, po starym dywanie stawiam stopy odziane w kolorowe skarpetki. Nie. Jestem tam, tańczę z upadłością i zgorszeniem, jak równe z równym, puszczam wodze przyzwoitości i coraz mocniej wyginam ciało, coraz lubieżniej. Już niemal czuję w ustach smak namiętnego, gorszącego pocałunku.

Nagle coś uderza w okno i otwieram oczy.

Czy to znowu on?

*„Mamo, ojciec wrócił.”*

Tak, to ten zapach, to ta właśnie cisza. Czuję się, jakby ktoś mnie spoliczkował, lub zobaczył naga. Przyszedł znów nas męczyć. Nie może odejść, póki żyjemy. W końcu wypije z nas całe życie – te resztki radości, jakie zostały jeszcze gdzieś tam, na dnie duszy. Które ledwie starczą na jeden uśmiech.

*„Mamo, do ciebie chciałabym się uśmiechnąć.”*

Stoję jak naga i nie mogę się ruszyć. Muzyka straciła smak, jest jałowa i pusta. Brzmi śmiesznie i kiczowato w tym starym, ciemnym pokoju. śmieje się ze mnie tandetna figurka słonika, która miała przynieść szczęście; chichocze pluszowy miś, prawie tak stary, jak ja i prawie jak ja zniszczony.

Gdy byłam mała, uciekałam na podwórko, do innych dzieciaków. Wtedy jeszcze nie wiedziałam dlaczego nie chcę siedzieć w domu. Później uciekałam na samotne spacery po parkach, wtedy uciekałam przed okresem, przed wódką i ciszą, jaka w mieszkaniu panowała. Miesiąc temu próbowałam uciec na drugą stronę po żyletkach i tabletkach nasennych. Ale to była ucieczka tak żalosna i komiczna, że nikt nawet jej nie zauważył. Później cieszyłam się, że spotkała mnie porażka. Tam mógłby czekać on.

To była moja ostatnia ucieczka. Teraz nie mam już miejsca, gdzie mógłabym się udać. On czeka w każdym smutku i niepowodzeniu, w każdej łzie się odbijają jego ohydne oczy, a ja już zwyczajnie nie mam siły nie



płakać.

Siedzę w mieszkaniu jak zwierze w klatce, za ścianą płacze coraz bardziej mi obca kobieta. Zaczęła płakać, gdy znieruchomiałam. Jakby też wyczuła jego przyjście. Jest już północ, gasną światła w oknach sąsiadów. Cicho i ciemno. On wie, że ta godzina jest dla niego idealna, bawi się tym.

Nie sądziłam, że zjawi się tej nocy. To nie był zły dzień, było po prostu tak nijaki.

Dlatego właśnie przyszedł – by zrobić mi niespodziankę.

*„Jesteś zaskoczona, mamusi?”*

Płyta w odtwarzaczu przestała się kręcić. Kiedy ją wyłączyłam? Nie pamiętam, może to on cicho podkradł się i wcisnął przycisk. Teraz słyszę wyraźnie każdy szelest, każde skrzypnięcie oddychającej szafy i każde rozprężenie w materacu.

Cichy, rozpaczliwy jęk dochodzi mnie z sypialni mamy. Słyszę jak łóżko się ugina, a ona płacze dalej, choć teraz już ciszej. Szepty docierają do mnie zza zamkniętych drzwi, ale nie rozumiem, nie rozumiem ani słowa.

Siadam na łóżku, zamykam oczy i słucham.

Posuwiste, wstrętne i lepkie ruchy; mamusia szepcze i jęczy.

Mija minuta za minutą, ja siedzę cicho, nie mogę się odezwać, nie chcę ich spłoszyć. Choć powinnam przecież tam wejść i coś zrobić.

Ojciec nie wyrzekł jeszcze ani słowa. Czasem w nocy słyszę jego głos, ale z matką nie rozmawia ni-

gdy. Po prostu przychodzi tam, gdy ona płacze.

Gwałci ją, leżącą z rozkraczonymi nogami, żalostną i słabą. Zatrzuwa jej bolesne łono swym trupim, gnijącym fallusem, wbija się, nie tracąc czasu na pieśszczoty i czułości.

Mama, mamusia płacze nadal, pewnie boli ją to żądło. Później napienia ją swym zimnym, trupim nasieniem, brudzi nim pościel i jej uda. Mama leży bez ruchu, dysząca i słaba, niemal na granicy śmierci. Teraz cicho otwiera się okno, zimny wiatr wpada do pokoju, chłodząc gorączkującą nagość. Ojciec i wszystko jakby wraca do powszedniości.

*„Mamo, jak się czujesz? Czy to, co ci zrobił bardzo boli?”*

Nienawidzę myśli o pierwszym stosunku, jaki kiedyś nastąpi. Brzydzę się wstrętnego pożądania, dotykających mnie rąk, podniecenia i takich jęków. Nie sądzę, bym kiedyś mogła czerpać przyjemność z tego czegoś. Sama myśl sprawia, że czuję się brudna.

Może gdyby matka nie była tak pokorna i cicha, gdyby pokazała mi w kobiecości coś prócz poniżenia, słabości i wstydu. Nie chcę być od nikogo zależna, a na pewno nie od samca o cuchnącym alkoholem oddechu i wiecznie nabrzmiałym krwią kutasie.

Sama już nie wiem jak jest naprawdę, czy matka jest tylko niešťczęsną ofiarą zbyt długiego milczenia. Nie wszystkie przecież żony, nie wszystkie matki są takie. Ale to ona będzie w mojej świadomości, ona jest

moim pasem cnoty, pasem wstrętu i niechęci.

Tak samo, jak przez ojca nabram wstrętu do alkoholu.

Tym bardziej boję się, że zginę tak, jak on upodlona i pijana, zmęczona życiem. Cicha jak matka, a jak ten samiec wstrętna.

Jeszcze gdy żył, zdarzyło się, że zapragnęłam się upić. Poczuc to, co on. Akurat znajoma obchodziła urodziny, więc sprawa była prosta. Była, była – nie dla mnie. Pili wódkę kieliszek za kieliszkiem. Było bezpiecznie, rodzice zostawili mieszkanie pod opieką starszego brata, a ten przytknął oko na małolaty. Więc otwierali butelkę za butelką. Ja nie mogłam, po prostu nie była w stanie.

W końcu namówili mnie na drinka, dosyć lekkiego. Cola z wódką, z odrobiną wódki.

Coś łomotało w głośnikach, nie wiem, czy to muzyka, czy moje serce. Zamknęłam oczy, przechyliłam szklankę. Nikt na mnie nie patrzył, byli zajęci sami sobą. Nie chciałam się pomylić, zrobić tego źle. Diabli wiedzą, na co czekałam. Drink był już przy moich ustach, gdy poczułam w nim zapach ojcowskiego oddechu. Mieszały się odory wódki, łez i mieszkania o obłoczonej podłodze. Gdzieś na dnie szklanki kipiał rosół, dziwnie pachnący specjał. Rosół na starych ludzkich kościach. Po jego powierzchni nędza tańczyła z jakąś dziwką kankana, wysoko unosząc koślawe nogi. Dalej cienka warstwa krwi, czy może wiśniowego syropu, dalej tynk ze ścian, dalej za-

wiesina z rozdrobnionych tabletek nasennych i przeciwbólowych, dalej mech z zimnej cementarnej płyty, puste, dziwne spojrzenia matki, jej pot i martwy płód, którego powinna poronić, a z którego ja powstałam. Dalej jego zimne, złe spojrzenie, dalej sperma pełna martwych plemników, dalek moje spojrzenie, pełne nienawiści i bezsilności. Po wierzchu pływała wódka, ale tylko odrobina.

W przyciemnionym pokoju dziennym, gdzieś na trzecim piętrze bloku osiedlowego, gdzieś pośród ludzi, którzy zdawali się być tak ode mnie inni. Gdzieś tam właśnie zaciągnęłam się tym zapachem i upiłam się tak, że już nigdy nie miałam chęci tknąć tego świństwa. Nikt nie zauważył, że odłożyłam szklankę na stół by zgubiła się w tłumie innych, pustych i niedopitych.

Nigdy nie czułam się specjalnie wyróżniona moim żałosnym życiem. Wiem, że każdy niesie swój własny bagaż nieszczęść smutków, każdy tańczy ze swą prywatną nędzą, pije z żalem a zasypia przy widmie samotności. Byłabym naiwna sądząc inaczej. Mam oczy i widzę. To, że ktoś w szkole nie ma zmęczonych od płaczu powiek wcale nie znaczy, że cierpi mniej. Można być twardym i walczyć z życiem nie wyjąc co noc. Tak naprawdę każde z nas jest trochę introvertykiem. I egoistą, który nie chce widzieć świata inaczej, niż z wygodnej pozycji krzyża.

### III



Gdy to wszystko jeszcze się nie zaczęło, gdy chmury dopiero się gromadziły, było inaczej. Mama lubiła opowiadać mi z oburzeniem o klientach w monopolowym.

Była tam więc wieczna płaczka, jak sama ją nazwałam. Kobieta starsza już, zawsze w pogrzebowej czerni. Co dzień kupowała pół litra żółdkowej gorzkiej, nieodmienne tłumacząc, że to dla sąsiada. Codziennie. I za każdym razem mówiła to głosem drżącym i drżącymi dłońmi podawała odliczoną gotówkę. Gdy owiniętą papierem butelkę wrzuca do torebki drży już cała, od stóp do głów. Wieczna płaczka bywa na wszystkich pogrzebach, zawsze, odkąd została sama. Nad grobem męża staje codziennie w drodze do sklepu. Nasza miejscowość nie jest duża i plotki rozchodzą się same. Ale nikt prawie nie wie, że płaczka jest od lat alkoholiczką.

Są też zastępy milczących meleni, którzy tylko podają pieniądze. Każda ekspedientka i tak zna doskonale ich gusta. Dlaczego nigdy nie mówią? Czy wstydzą się zatruwać fetorem jasne sklepowe wnętrza? Ci mniej jeszcze doświadczeni wskazują w milczeniu palcem na półkę. Istnieją oczywiście melenie mówiący językami. Nawet ci jednak nie są godni nazywania alkoholu po imieniu. „Soczek” to jaból, „źródlana” to czyस्ता, „piweczko” ma zbyt mało procent na taką celebrację. Ale nigdy mimo to nie bywa „piwem”. To byłoby zbyt wiele.

Stają wszyscy później przed skle-

pem, obok drogi prowadzącej do parku albo obok pomnika. Gromadzą się wokół krzewu ognistego, spuszcza ją pokornie głowy przed obliczem pańskim i w milczeniu spożywają napój dobra i zła. Powoli wszyscy przeglądają na oczy, widzą rzeczy wielkie, większe od gorejącego głogu, większe od pomnika generała Piłsudskiego, który jest im Mojżeszem w dłoni dzierżącym tablice dziesięciu przykazań. Mówią rzeczy wielkie, pogardliwymi spojrzeniami obrzucając przechodniów. Dysputują długo, prowadzą dyskurs teologiczny z wężem jadowitym o na powrót zrośniętej czaszce i jeszcze ostrzejszych niż w Ogrodzie zębach. Jaszczur jest silny i zdrowy, wije się między ich stopami, sycząc i wyciskając z oczu łzy. Krwawią ich poranione i zatrute pięty. Później faryzeusze spostrzegają, że mówią językami, że oto pomieszały się ich zmysły i nie rozumieją siebie wzajemnie. Sami nie wiedzą w końcu, czy są świętymi, czy Bóg nimi wzgardził. W rozpaczę padają na wznak, czekają na litość, choć skrycie wiedzą, iż przepowiednia Jana jest bliska.

Pan jest miłościwy i daje im szansę. Więc pielgrzymują wszyscy ponownie do sklepu, klęcząc przed ladą czekają w milczeniu. Już nikt nie mówi, nikt nie wskazuje palcem.

Melenie czekają pod sklepem jeszcze przed otwarciem. Są niecierpliwi, ponaglają zaspane jeszcze sprzedawczynie, gdy te sklep otwierają, gdy wnoszą towar, gotują się do pracy.

Oni stoją wtedy, śledząc każdy ruch kobiet i czekają na znak. Napój dobra i zła jest już jedynym ich życiem, Bo przecież kto raz doznał tego natchnienia, kto choć raz przejrzał na oczy, ten nie zazna już w życiu spokoju.

Ale jest też pewien radosny bruchacz, co rano spieszący po bułki, paczkę mocnych papierosów i trzy, cztery piwa. Mama mówi, że on już w progu głośno wita wszystkie panie i swym kolosalnym cielskiem przeciska się między półkami. On zawsze bez skrzepowania krzyczy, że piwa mu potrzeba. Nie drżą mu ręce, nie mówi szeptem. Ale przecież wszyscy wiedzą, że to nie on wypija to wszystko, choć bardzo by chciał, by tak to wyglądało. Nie, one są dla jego chudej żony, która z zaciśniętymi ustami czeka jeszcze w łóżku, oglądając telewizję. Bez piwa nie wstaje, bez alkoholu jest zła i krzyczy.

Mama zna więcej takich historii. Kiedy jeszcze nie stała się udziałem jednej z nich, przynosiła do domu codziennie nową porcję szokujących informacji. To nie były plotki – po prostu zdumienie, które szukało ujścia. Odkąd ojciec zaczął pić, matka milczy o tym uparcie.

#### IV

Nie minęło więcej niż trzy dni od pogrzebu, gdy miałam sen o ojcu. Oczywiście – koszmar.

Zobaczyłam jego grób, jeszcze przypominający kretowinę. Między wieńcami i bukietami uwijały się

małe, czarne stworzenia. Był dzień, słońce świeciło mocno, a ja zastanawiałam się, po co one tak się kręcą. Ścieżką zbliżały się w szeregu kolejne. Wpierw pomyślałam, że zamierzają zjeść jego zwłoki i zaczęłam kopniakami odganiać intruzów. Nie mogłam im na to pozwolić. Zaabsorbowana nie spostrzegłam, że słońce zachodzi. Przesuwało się kilkukrotnie szybciej niż normalnie i już po chwili zapanowała ciemność. Płonęły tylko znicze, bogato rozstawione na kopcu. Skąd się tu wzięły? Przecież niemal nikt nie przyszedł na pogrzeb? Kilka osób z najbliższej rodziny, znajomi z pracy ojca, ksiądz, paru facetów w czerni i wieczna płaczka.

Krety cały czas uwijały się między świeczkami. Nie, to nie znicze, to jakieś płomienie wyrastające z ziemi. Wielobarwne ognie świętego Elma. Spojrzałam w górę, na księżyc. Był jasny i okrągły. Zajmował chyba z dziesiątą część nieba.

Nagle usłyszałam westchnienie za plecami. To tylko wieczna płaczka przystanęła obok. Trzymała połowicznie pustą butelkę, smutno uśmiechała się zza czarnego kapelusza. Była pijana, ale wcale nie wyglądała na zniszczoną czasem alkoholicką. Twarz miała gładką, różową jak prosię.

Zapytała, czy rozumiem, co robią te stworzenia. Zaprzeczyłam, a wtedy ona wyjaśniła, że zabieraj trumnę do piekła, tam gdzie miejsce ojca.

Podeszła do kopca i wylała resztkę wódki. Zaczęłam krzyczeć,

żeby zostawiła go, by choć po śmierci nie pił. Wtedy wytłumaczyła, że to była jego ostatnia prośba, że chciał jeszcze raz się napić. Kobieta odeszła bez pożegnania. Pragnęłam, by krety zabrały go jak najszybciej.

Te jednak chwilę później zaczęły umykać ścieżką, z której przyszły. Jeden za drugim, w równym rzędku. Poruszały się pokracznie i powoli, ale czułam, że panicznie się czegoś boją. Grób cały kotłował się i ruszał, falował dziesiątkami ruchliwych ciałek oświetlonych coraz wyższymi płomieniami.

Coś nagle spadło między zwierzęta i rozpoczęła się jatka. Krety piszczwały rozdzierane ostrym dziobem białego ptaka. Patrzyłam nie mogąc się poruszyć. Ginęły nieruchomiejąc i milknąc. W końcu ostatni zadygotał. Sowa, czy też puchacz wzbil się w górę i usiadł na drewnianym krzyżu, patrząc na mnie. Stwór był śnieżnobiały, choć teraz umazany krwią. Z dzioba zwisał włochaty ochłap.

To nie zanieś go do nieba – pomyślałam. Co to za stwór, co za demon?

Płomienne języki drżały jakby poruszał je wiatr. Krecie mięso skwiercało, a smród stawał się coraz paskudniejszy.

Nagle ptak rozpostarł skrzydła i zapiszczał przeraźliwie.

Obudziłam się w ciemności, złana potem i do rana bałam się zamknąć oczy.

Następnego dnia udałam się na

cmentarz, gdzie zastałam wszystko w jak najlepszym porządku. Tylko krzyż upadł, niedbale wbity w ziemię. Partacze nie mogli uderzyć młotkiem jeszcze kilka razy?

Tak by ostrze wbiło się w jego serce.

Przewertowałam wiele książek by zrozumieć tę wizję. A to wszystko było tak oczywiste.

Wampir, upiór, wąż, upir, krwiopijca, diabeł, straszycło.

I ona, strzyga.


*„Mamo, dlaczego nie wbiłyśmy mu kolka w serce?”*

Miałam nadzieję, że to zwykły koszmar. Jednak gdy on zjawił się w nocy po raz pierwszy, nabrzmiały i odęty, wtedy zrozumiałam, że nie odejdzie, że sny są odbiciem rzeczywistości. Może nie barwniejszym, ale na pewno bardziej brutalnym.

## V

Ciotka Krystyna przyszła z wizytą. Usiadła w fotelu, my na kanapie naprzeciw. Między nami niski stół, filiżanki z parującą kawą i milczenie odmieńców posadzonych przy człowieku normalnym. Rozmawiamy, ale sama czuję, że to jakiś rodzaj gry, w którym szczerza zdaje się być tylko ciocia.

To już pół roku minęło, mówi, podnosząc do ust filiżankę. Pyta jak się czujemy, czy już ochłonęliśmy. Ciotka zawsze jest bezpośrednia, nie wstydzi się zadawać krępujących pytań. Jest szczupła, wyższa od mamy, też bardziej elegancka, choć nie tak



ładna. My siedzimy jak dwie pokorne mysie, zdobimy usta wymuszonymi uśmiechami. Mama odpowiada, że jest dobrze, już oswoiliśmy się z jego śmiercią, choć bardzo nam go brakuje.

Mama wspomina, jak jechaliśmy nad morze, gdy byłam jeszcze ma lutka, jaki był wtedy wspaniały czas. Ja nic nie mówię, nie chcę kłamać, nie nauczyłam się tego jeszcze wystarczająco dobrze.

Ciotka krzywi się zniesmaczona, odkłada kawę na stolik. Ma szminkę na ustach, karminowy ślad pozostał na porcelanie. Mówi, żebyśmy dały spokój, że to źle może mówić tak o zmarłych, ale ojciec nie zasłużył na ciepłe słowa. Był złym człowiekiem, alkoholikiem, pieniędzy mało do domu przynosił, o nas się nie troszczył. Przecież to wszyscy wiedzą.

Mamusia garbi się jeszcze bardziej, opuszcza wzrok, by nie widzieć tych karminowych ust. Mama nie malowała się już od lat. Nie miała dla kogo. Próbuje bronić samca, ale jest to tylko żaloszny bełkot. Po chwili milknie, cicho zgadzając się z zarzutami. Ciotka kontynuuje tyradę o ojcu. Ja tłumaczę się klasówką i uciekam do pokoju. Kładę się na łóżku, nie mogę się uczyć, więc słucham dalej.

Ciotka Krystyna jest starsza od swej siostry o rok. Skończyła tę samą szkołę, próbowała studiów, ale ostatecznie znalazła słabo płatną, lecz ciepłą posadę jako księgowa czy sekretarka. Teraz, po latach, jej pozy-

cja zawodowa poprawiła się.

Rozwiodła się po roku małżeństwa, nie ma dzieci. Jest sama, ale patrząc na nią mam wrażenie, że jej miłosne przygody będą miały się w przyszłości lepiej niż moje.

Cała jest przebojem, fontanną humoru i wulkanem energii. Ojca nie lubiła nigdy, ot, coś między nimi było nie tak, brakowało porozumienia. Gdy zaczął pić, ona ograniczyła wizyty i taktownie udawała, że nic się nie dzieje. A może po prostu wstydziła się za siostrę? Na wszelkich uroczystościach rodzinnych taktownie omijali się, z uśmiechem oczywiście, bo nie wypada tak do szwagra, do szwagierki.

Ciotka twierdzi, że zawsze był pozbawiony ambicji, że nie szedł w górę i dlatego mieszkamy dalej tak ciasno, dlatego nie mam jeszcze komputera. A przecież muszę się rozwijać, uczyć, wszyscy mają. Nie starał się o pieniądze, o rodzinę nie dbał, pił jak świnia. Matka milczy.

Kawa w filiżankach stygnie, powietrze pachnie kawą i śmietanką. Jaka szkoda, że odór alkoholu nie chce dać się wywietrzyć.

Ciotka, mimo wieku, jest elegancka i wyraźna. Gdy byłam młodsza to ona i mama były mi wzorem. Mama wprowadziła mnie w kolejne etapy kobiecości, ciotka nakłaniała do buntu. Gdy dorosnę, pewnie będę taka, jak rodzicielka. I tak jak ona będę ciotce zazdrościć.

Dopiero ostatnio zrozumiałam, że ona też nie jest szczęśliwa. Biegnie i biegnie, zawsze sama, musi

krzyczeć wystarczająco głośno, by echo wróciło do niej, by ktoś do niej mówił. Otacza się ludźmi, zabawą i ciągle obrasta skorupą samotności.

Pamiętam jak niegdyś wylądowała w szpitalu, na granicy śmieci. Telefon zbudził nas w środku nocy. Nie wiedzieli, czy ma bliższą rodzinę. Byłam jeszcze dzieckiem, nie wiedziałam, co się dzieje, dlaczego ciotka musi tam być. Mama wytłumaczyła, że ciocia jest chora. Dopiero niedawno zrozumiałam, że w środku nocy ludzie nieczęsto zatrzymują się ot, tak. Chyba, że dużą ilością tabletek nasennych. Mocną dawką, taką na sen wieczny.

Od mojego pierwszego i jak do tej pory jedyne samobójstwa – a raczej jego próby – minął już miesiąc. Kolejnych nie planuję, nie chcę.

Na razie nie potrzebuję.

To był dzień, w którym miałam już wszystkiego serdecznie dosyć – już nie pamiętam dlaczego. Po prostu było źle i tyle. Po szkole kupiłam tabletki – paczkę przeciwbólowych, paczkę nasennych. Myślała, że będzie dobrze, że to wystarczy, ale na wszelki wypadek miałam też żyletkę, którą znalazłam w domu. Wcześniej starannie ją oczyściłam i odkaziłam spirytusem. Głupota, przecież i tak chciałam umrzeć. Chyba czułam, że nawet to mi nie wyjdzie.

Aptekarka dziwnie na mnie spojrziała, poczułam się głupio. Ale nie, podała tylko cenę, nic więcej. Widziała pewnie w moich podkrążonych szarych oczach, że nie boli mnie głowa, tylko życie. Ale mało takich

jak ja? Tabletki nasenne były ziołowe; tylko takie dostałam bez recepty.

Zaczekałam do wieczora, aż mama zaśnie. Później rozebrałam się i tak nago stojąc patrzyłam przez okno. Było mi wszystko jedno, czy ktoś mnie widzi. I tak w pokoju panowała ciemność, więc nie rzucałam się w oczy.

Podę mną blokowisko, nade mną noc. Zamknęłam oczy i czułam jak zimny wietrzyk pieści mi ciało. Jedyny kochanek prócz żalu i nędzy. Żałowałam, że nie może mnie ktoś objąć, pocałować. Nie było tam nikogo, kto by mi zabronił, nie było nic prócz szarego blokowiska.

Zostawiłam okno otwarte, usiadłam na łóżku.

Połykałam tabletki po dwie, trzy – tyle tylko potrafiłam naraz przełknąć. Bałam się, że to nie wystarczy. Dlatego miałam jeszcze żyletkę.

Oczywiście nie dałam rady. Stwierdziłam, że pigułki to już dosyć, że nie chcę krwi, że to za trudne. Już i tak wystarczająco byłam szara i mysia, nie chciałam do tego babrać się i szlachtować jak rzeźnik świnie.

Więc żegnajcie smutki i niepowodzenia. Smutne zdjęcia, smutne twarze, trupy i wampiry. Po drugiej stronie będzie przecież lepiej, będę w końcu bezpieczna i beztraska.

Zasnęłam. Czułam, jak dookoła mnie tłoczą się jakieś stworzenia, jak dotykają mnie zimnymi nosami. Trącają nagie ciało zimnego trupa.

Ja też od piekła?



Wszystko zaczęło się kręcić; wirowałam. A później obudziłam się i zwymiotowałam garść białych, na wpół rozpuszczonych kuleczek. Stworzenia znikły, znowu zostałam sama. Sama, zła i zarzygana, brudna. Mogłam się jednak pociąć.

Leżałam tak do rana, nie mogąc się ruszyć, nie mogąc zasnąć. Nie chciałam już nawet umrzeć. Płakałam cicho, a każda łza sprawiała mi ból. Głowa pękała, czułam mdłości. Wcześniej zwymiotowałam już wszystko. Wszystko prócz resztek duszy. A może to nie dusza, tylko kwaśna ślina, która wypełniała mi usta? A może to nie dusza, tylko resztki soków żołądkowych?

Nim zaczęło jaśnieć, spadł w końcu na mnie sen. I wtedy, gdy śniłam, ktoś wszedł do pokoju. Wszedł przez uchylone okno i dyszał, trzymając się za rozdęty brzuch.

Ponownie otworzyłam oczy o godzinie ósmej. Była sobota, mama hałasowała w kuchni, za ścianą cicho gadało radio. Głowa bolała mnie nadal, czułam zimno, ciągnące z otwartego okna.

Kilka tabletek przykleiło mi się do piersi i brzucha. Cała byłam brudna od własnych rzygowin. Czułam się tak źle, że nawet nie wiedziałam, co mogę ze sobą zrobić. W końcu po prostu wrzuciłam na siebie koszulę i przemknęłam do łazienki, by się umyć. Zebrałam na wpół rozpuszczone tabletki i resztki kolacji z pościeli.

Żyłkę po prostu wyrzuciłam przez okno.

*„Mamo, czy ty w ogóle coś zauważyłaś?”*

Tego dnia wyszłam na cmentarz. Po raz pierwszy od tak dawna. Grób nie był już tym kopcem ziemi, którego widziałam ostatnio. Miał grubą, szarą płytę z płaskorzeźbą krzyża. Rosły kwiaty, chyba bratki, płonęła świeca w plastiku. Mama dbała o to wszystko, niemal co dzień czy dwa przychodziła tam, by modlić się o jego zbawienie.

Ja zmówiłam modlitwę dla nas, za jego wieczny odpoczynek. Nie ważne, czy na górze, czy na dole.

Cmentarne powietrze pachniało ładnie, było jeszcze chłodne, ale już miało w sobie coś wiosennego. Stojąc przed grobem ojca zastanawiałam się, gdzie mnie by pochowano.

Za ścianą panowała cisza. Nawet nie spostrzegłam, że skończyła się monotonna paplanina ciotki. Podniosłam się z łóżka i uchyliłam drzwi. Mama dalej siedziała na kanapie. Wyszłam z pokoju, a ona podniosła głowę. Zdawało się, że znów postarzała się o kilka lat. Policzki miała mokre od łez.

Weszłam do kuchni; powoli nalewałam do czajnika wodę. Coś się stało, czekałam więc.

Zawołała mnie.

Łamiącym się głosem powiedziała, że ciotka ma raka. Jest źle, jest późno. To rak macicy, ciotka idzie do szpitala. Przyszła się pożegnać. Mama powiedziała tylko kilka tych zdań i zamknęła się w sypialni.

Wypiłam szklanę wody. Na dnie spacerował krwistoczerwony



rak. Wiedziałałam już, że stary znów nas odwiedzi. Kolejne nieszczęście na nasze barki, jak kłody, które musimy zbierać spod nóg i nieść ze sobą. Pochód ślepców idzie dalej; cóż innego można zrobić? Wszyscy dźwigamy po równo.

Słyszę jak samica, będąca na skraju wytrzymałości, płacze za ścianą. Potrafi płakać bardzo cicho, ale jest moją matką. Ja zawsze będę słyszała jak padają na ziemię jej łzy.

*„Mamo, może to nic takiego...”*

Jest już dziewiętnasta; zazwyczaj o tej godzinie jemy razem kolację. Nie jestem głodna, nic bym teraz nie przełknęła. Zamykam się więc w pokoju i cichutko puszcza muzykę. Może zatańczymy?

W pustych ramionach trzymam kochanka i stawiam krok za krokiem. Krok za smutkiem, krok za rozpaczą. Okno jest odsłonięte, ale to nieważne. Niech patrzą, chcę żeby patrzyli. Jeśli tańczy się z żalością, można i z każdym. Mama cały czas płacze, więc tańczę szybciej. Za nią, za siebie, za ciotkę, które pewnie umrze już niedługo. Nie mam za dużo złudzeń.

*„Na zdrowie mamo, na zdrowie ciociu!”*

Czy to pokój wiruje, czy ja? Muzyka przyspiesza, co za wir! Co za szaleństwo! Pewnie wyglądam teraz śmiesznie, ale to nieważne. Za kilka dni zacznę mi się okres, więc szaleję teraz, póki jestem sobą i nie pamiętam o upadłości samicy-matki-rodzicielki. Czara boleści się przełała, flaszka smutku jest już pusta.

Nie chcę sięgać po kolejną. Po co? Dla kogo? To nieważne, nieistotne. Teraz tańczę.

Figurka słonika stoi na biurku jak wcześniej, z opuszczoną żałośnie trąbą, z odpryskiem powypadkowym i złamanym kłem. Obok łóżka stoi kubek z zimnym już naparem rumianku. To nieważne, teraz tańczę. Teraz to wszystko nieważne.

W końcu padam na łóżko, dysząc i płacząc. Nie, ja się śmieję. Ja już sama nie wiem. Stary jeszcze przyszedł, jeszcze za wcześnie. Mimo to coś jest nie tak. Co się stało, słoniku?

Teraz już nic nie zrobię, nie zasnę, nie będę się uczyć. Teraz będę tańczyć jak szalona. Aż umrę, aż zniknę w tym tańcu. Miałabym na niego czekać?

Będzie zwisał z parapetu, ciężko dysząc i śmierdząc coraz gorzej. Będzie nabrzmiały, odęty i zły. Może zostanie godzinę, ale dlaczego by nie do rana? Gdy już zasnę, wślizgnie się przez okno, przemknie korytarzem i zgwałci. A kiedy przyjdzie mu ochota na córkę?

Strzyga siedzi już pewnie na gałęzi jakiegoś pobliskiego drzewa, może na dachu naprzeciwko. Obrała nas za cel i wszystko jest już postanowione. Już niedługo pochód ślepców będzie tańcem śmierci. Już słyszę tę muzykę. Co za okropny rytm!

*„Mamo, czy jesteśmy już martwe?”*

Jeszcze kilka godzin, jeszcze jest czas.

## VI

- Mamo, mogę wejść? - pytam, stojąc przed drzwiami jej sypialni.

- Tak, co się stało? - odpowiada, starając się uspokoić głos. Ociera ukradkiem oczy. - Siadaj, kochanie.

Wygląda tak źle, jak myślałam. Sama na dwuosobowym łóżku, na wielkiej trumnie. Zajmuję jego miejsce, kładę się obok. Chwilę się waham, po czym obejmuję ją mocno. Ona drętwieje, zaskoczona. Czuję jak bardzo jest spięta.

- Mamo?

- Tak?

- Mamo, mamusiu...

- Ciotka z tego wyjdzie, nie martw się, kochanie.

- Mamo, nie zamykaj się przede mną. Mogę zostać z tobą? Nie chcę, żebyś spała tu sama.

- To nic takiego.

- Nie chcę, żebyś płakała. On był zły, kiedy pił.

- Był ojcem.

- Był zły, był wściekły. Przecież wiesz, wszystko wiesz, mamo.

- Co takiego?

- Musimy być silne, jesteś jeszcze młoda, mamo. Jesteś ładna i dobra. Musimy być razem.

Nic nie odpowiedziała. Poczułam jej ramiona na sobie. Wtuliłam się w jej pierś.

Zacząłyśmy najtrudniejszą rozmowę od lat. Jedną z niewielu, które naprawdę coś znaczyły. Trwała później nieprzerwanie przez całe lata.

Minęła północ, później weszło słońce. Leżące pod łóżkiem główki

czosnku chyba w końcu zaczęły działać, bo tej nocy ojciec – obrzmiały i nadęty – nie nawiedził naszego mieszkania.

Autor: Paweł Mateja  
[p0mateja@gmail.com](mailto:p0mateja@gmail.com)



# Carpe Noctem, 2011

[www.carpenoctem.pl](http://www.carpenoctem.pl)